W. Leśniewski

№ 12. Warszawa, dnia 21 (9) Marca 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał drugi roku 1896-go. Warunki prenumeraty pozostają te same a mianowicie:

W Warszawie: kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.

półrocznie rs. 2 kop. 50.

rocznie rs. 5.

Adres: „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

Po przeczytaniu „QUO VADIS."

(Dokończenie.)

Mgły nocne dokoła... tu i owdzie tajemniczo przesuwają się postacie ludzkie... niektóre niosą latarki, a płomyki ich migocące w powietrzu mglistem oświetlają to wądół, lub rozpadlinę, to kopalnię piasku, to zawalony wodociąg, to stary, na wpół zniszczony grobowiec... Cienie ludzkie mijając się, pozdrawiają się nawzajem wyrazami: „pokój wam!" lub „chwała Chrystusowi." Czasami nucą półgłosem śpiew dziwny, smutny, przejmujący.

Gdzież jesteś czytelniku?

Ha zgaduję. Prąd wspomnień kapryśny, dziwaczny niesie cię od krzyżów areny ku pustkowiom zamiejskim, w których ciszy poczynała się nowa era świata. Nomentańską drogą dążysz z Winiciuszem do Ostranium.

Pamiętasz dreszcz dziwny, który przechodził cię od stóp do głów, gdy po raz pierwszy witałeś ten obraz, te wzgórza, ten cmentarz opuszczony i te otulone płaszczami, kryjomie zdążające na miejsce zboru postacie pierwszych wyznawców Chrystusa?

Zdumiony, sam siebie pytałeś wtedy, jakim sposobem, w prostocie słów, którémi namalował ci go poeta, tyle może być czarodziejskiej jakiejś potęgi, jakim sposobem ta chwila mogła z kilkonastowiekowej mogiły swojej podnieść się żywa przed twemi oczyma... i jak wobec widma wywołanego zaklęciem, zdjął cię lęk jakiś.

Oto idziesz śród tłumu będącego antytezą tego, który tam na Palatynie szaleje w nieustającej orgii. Tam tryumfujący pan świata ze swoim orszakiem, tu bezbronne ofiary ówczesnego ustroju społecznego: nędzarz, barbarzyńca, niewolnik, kobieta. Tu ci, co pospieszyli pierwsi na wezwanie Chrystusa, wszyscy poniżeni, wydziedziczeni, słabi. Jesteś u samego dna otchłani rzymskiej, jesteś śród ciemności, z których wyszło światło.

A teraz rozejrzyj się w tem zbiorowisku dusz, przypatrz, jakiemi drogami nauka miłości wnikała w ich głąb. Oto widzisz przed sobą barbarzyńców jak ów Demas, w których „burzyły się dusze prostacze na myśl o tłuszczy szydzącej z przybitego na krzyżu Baranka," jak ów Lyg z dalekich puszcz wschodnich, który rozmyślając o śmierci Syna Bożego, powiada sobie, że gdyby tak na niego, on by nie dał umęczyć Zbawiciela, a jeśliby mu samemu sił nie stało przeciwko tłuszczy żydowskiej, to „zkrzyknąłby Lygów, chłopów na schwał" i odbił z nimi Jezusa, albo znów żal go chwyta, że Baranek przyszedł na świat w ziemi żydowskiej, nie wśród borów lygijskich. Juźciż on wiedział, gdzie mu się narodzić potrzeba — duma sobie — ale, żeby tak u nas „pewniebyśmy go nie umęczyli, ale hodowalibyśmy dzieciątko, i dbali, by mu nigdy nie brakło ni zwierzyny, ni grzybów..." O złota naiwności prostaczego serca, pewnie, że takby było.

Za barbarzyńcami ciśnie się do nóg Chrystusowych jeszcze liczniejszy, jeszcze smutniejszy zastęp niewolników. Tam swoboda, tam szczęśliwość, tam żywot wieczny dla poniżonych, chłostanych, zabijanych jak zwierzęta, sprzedawanych jak rzeczy bez duszy, tam w słodkich słowach Zbawiciela balsam na ich rany, tam miłosierdzie, którego po za tą nauką nie ma dla nich nigdzie na świecie. Więc ciągną smutni i nucą śpiew dziwny, tęskny, przejmujący...

A pośród całej tej rzeszy cierpiących snują się dusze czyste, co nigdy nie zaznały niedoli, ale lgną do tej wiary dlatego właśnie, że czyste i dobre, jak Lygia Callina, co nietylko uwierzyła w Boskiego Nauczyciela, ale pokochała go „za słodycz nauki, za gorycz śmierci, i za chwałę zmartwych powstania."

A czy pamiętasz, czytelniku, jak ta nauka łagodziła powoli drapieżne serce wilczęcia rzymskiego, aż je w końcu w jedną z owiec Chrystusowych zamieniła.

Chodźmy na Ostranium przypatrzeć mu się, gdy po raz pierwszy słucha opowiadania Piotra. Poeta dał nam talizman, przy pomocy którego możemy czytać w duszy młodego patrycyusza.

Oto wszedł już wraz z Chilonem, i wmięszał się w tłum cierpiących. „Tłum począł śpiewać z początku cicho, potem coraz głośniej jakiś dziwny hymn.

„Winiciusz nigdy w życiu nie słyszał podobnej pieśni. Ta sama tęschnota, która już uderzyła go w śpiewach nuconych półgłosem przez pojedynczych ludzi w czasie drogi na cmentarz, odezwała się teraz w tym hymnie, tylko daleko wyraźniej i usilniej, aż w końcu stała się tak przejmującą i ogromną, jakby wraz z ludźmi począł tęsknić cały ten cmentarz, wzgórza, wądoły i okolica..."

Winiciusz słuchał wielkiej, zbiorowej skargi świata jęczącego pod żelaznem panowaniem Rzymu, widział oczy wzniesione ku niebu, twarze natchnienia pełne... i zrozumiał, że w żadnej świątyni Europy, Azyi i Afryki podobnego nabożeństwa niema. „Trzeba było być ślepym, aby nie dostrzedz, że ci ludzie nietylko czcili swego Boga, ale go z całej duszy kochali, tego zaś nie widział Winiciusz dotąd w żadnej ziemi, w żadnych obrzędach, w żadnej świątyni."

Wszedł Piotr, a Winiciuszowi wydało się, że ta postać, ku której z uwielbieniem pogarnęli się Chrześcianie, „jest i dosyć prostaczą i nadzwyczajną, a co więcej, że ta nadzwyczajność wypływa właśnie z jej prostoty." Piotr począł nauczać, zalecał cnotę, umiarkowanie, czystość obyczajów... Winiciuszowi wydało się, że to są rzeczy, które umie na pamięć.

Stoicy nauczali przecież tego samego. Ale w dalszym ciągu Piotr obiecywał życie przyszłe, byt pośmiertny, i to nie ciche i mroczne Elizejskie pola, ale nieśmiertelność pełną blasków, w której każda krzywda, każda boleść, każda łza wylana na ziemi, miała znaleźć nagrodę. Winiciusz zrobił sobie w duchu uwagę, że tego nie nauczali stoicy. Gdy potem Piotr zaczął mówić o Bogu, który był zarazem wszechmocą, wszechdobrem, wszechprawdą i wszechmiłością, zrozumiał, „że wobec takiego *Demiurga* Jowisz i inni bogowie wyglądaliby jak jakaś hałaśliwa zgraja."

„Wszystko co słyszał, nie mieściło się wprost w jego głowie. Był to dla niego jakiś niesłychany nów pojęć. Nauka, która kazała mu kochać Partów, Germanów, Etyopów i innych barbarzyńców, wydała mu się szaloną, jednocześnie zaś miał poczucie, że jednak w samem jej szaleństwie jest coś potężniejszego, niż we wszystkich dotychczasowych filozofiach. Mniemał, że jest niewykonalną, a z powodu swej niewykonalności, boską. Odrzucał ją w duszy, a czuł, że rozchodzi się od niej jakby od łąki pełnej nardu jakaś woń upajająca. Otoczyły go jakieś przestwory, których się ani domyślał, jakieś ogromy, jakieś chmury... Ów cmentarz począł na nim czynić wrażenie zbiorowiska szaleńców, lecz także i miejsca, na którem jakby na jakiemś mistycznem łożu rodzi się coś, czego nie było dotąd na świecie."

A Piotr mówił dalej, opowiadał o rozpaczy swojej i Jana po śmierci Nauczyciela, o Zmartwychwstaniu Syna człowieczego... „I widziałem Go — mówił — jak widzieli wszyscy, a On był jako światłość i jako szczęśliwość dusz naszych, bośmy uwierzyli, że zmartwychwstał i że morza wyschną, góry się w proch obrócą, a Jego chwała nie przeminie."

Ten człowiek mówi prawdę, ten człowiek widział — powtarzał sobie Winiciusz — i działo się z nim coś dziwnego, stał wobec dwóch niepodobieństw, ale pozwalał unosić się wrażeniu mowy Piotrowej i zdawało mu się „że jakaś moc nadludzka przenosi ich do Galilei, że ten cmentarz zmienia się w Tyberyadzkie jezioro, a na brzegu, w porannym tumanie stoi Chrystus..."

Postać Lygii zmąciła mu widzenie.

A potem, czy pamiętacie go w chacie ubogiej Myriam, gdy ranny pielęgnowany przez tych, którzy wedle wyobrażeń jego powinni byli postąpić z nim jak z wrogiem, czuje, że kruszy się w nim powoli rzymska, dzika dusza. Jest świadkiem postąpienia Chrześcian z Chilonem i „przechodzi ono wprost jego pojęcie o ludzkiej zdolności do przebaczenia." Dla tych dziwnych, niezrozumiałych ludzi ma w myśli i „litość i jakby odcień pogardy," ale czuje, że tego Boga ich „albo pokochać, albo znienawidzić musi, obojętnym zaś pozostać nie może." I to pociągany urokiem chrześciaństwa, to odpychany przez coś „na co wzdryga się jego natura" pisze do Petroniusza „tam gdzie zaczyna się ta nauka, kończy się różnica między zwyciężonymi i zwycięzcą, możnym i biednym, panem i niewolnikiem, kończy się urząd, kończy się cezar, a zamiast tego przychodzi Chrystus i jakieś miłosierdzie i jakaś dobrotliwość przeciwna ludzkim i naszym rzymskim instynktom." Jednocześnie zaś spostrzega, że zaczynają pod jej wpływem w nim samym powstawać jakieś nowe uczucia i nowe upodobania, obce światu, w którym żył dotąd. I zdumiewa się nad „nadludzką siłą tej nauki, która przeradza do gruntu dusze ludzkie." Już on teraz inaczej kocha Lygię, on ją czci, doznaje wobec niej nieznanego przedtem uczucia pokory, już nie karze niewolników, a wobec objawów ich wdzięczności wilgotnieją mu źrenice. Aż wreszcie po wielu dniach smutku i rozterki na usta wybiegają mu słowa: „Lygio, niech będzie błogosławiona chwila, w której pierwszy raz usłyszałem Jego imię."

A Lygia na to: „Kocham cię Marku." I pamiętacie, jak „słuchała go, utkwiwszy w niego swe oczy, podobne przy blasku księżyca do kwiatów mistycznych, i równie zroszone jak kwiaty. W powietrzu nie było najmniejszego powiewu, i cyprysy stały tak nieruchome, jakby i one zatrzymały dech w piersiach. Nagle ciszę przerwał grzmot niespodziany."

To lwy zamknięte w wiwariach i czekające dnia igrzysk, zaryczały wróżbą mąk i zgonów. Nieraz one płaczem głuchym budziły ze snu Rzym, „nieraz nocami zbliżają się do krat, i opierając o nie olbrzymie swe głowy, głosiły w ten sposób swą tęsknotę za wolnością i pustynią. Tak poczęły tęsknić i teraz..."

A ciebie czytelniku ogarnia znów w tej chwili wir wspomnień. Bachanalie cezara, płomienna noc pożaru, straszliwe sceny pożogi światowładnego miasta, wszystkie te obrazy naraz wstają przed twemi oczyma. W uszach brzmi ci piekielny chichot Chilona: „Takie miasto, któremu służyli Grecy i wszystkie ludy ziemi! A teraz pierwszy lepszy Grek będzie mógł smażyć bób w jego popiołach. Ginie! Ginie! i nie będzie go już na ziemi! O Zeusie, Rzym był jako pasterz a inne ludy jako owce... Kto, o chmurowładny będzie je teraz zarzynał i w czyje ręce złożysz bicz pasterski?!...

— O Panie — mówi do Winiciusza z urągliwą ironią, na której nie poznaje się młody Rzymianin — widziałem okropne rzeczy, widziałem ludzi rzucających się w płomienie, słyszałem wyjących zwierzęcemi głosami „ale widziałem i takich, którzy wyli z radości, albowiem o Panie, dużo jest na świecie ludzi złych, nieumiejących ocenić dobrodziejstw waszego łagodnego panowania i tych słusznych praw, na mocy których odbieracie wszystkim to, co mają, i przywłaszczacie sobie."

Tak, wyrazy subtelnej ironii, pełne zgrozy obrazy, białe postacie męczenników, i potwór Nero, i Lygia jutrzenka, wszystko, wszystko co w poemacie pięknem jest i wielkiem, staje nagle przed tobą. Nie możesz oprzeć się tym widziadłom, nie możesz wyrwać się z ich świata, po raz wtóry bierzesz księgę, i zaczynasz czytać od początku. Tak, dobrze, dobrze...

Bywały niegdyś czczone gaje, w których gdy usnął strudzony wędrowiec, przychodziły nań widzenia i sny wieszcze, chory odzyskiwał zdrowie, starzec budził się młodzieńcem...

Jakimś takim legendowym gajem wydaje mi się powieść-poemat Sienkiewicza. Rosną tam kwiaty męczeństwa, których woń upaja dusze silniejsze, biją tam źródła przezroczе, których czystość ukochają serca prawe, unosi się tam duch, który czyni ludzi lepszymi.

I ja wracam z tego gaju. Przyniosłam wam listków barwnych kilka, kilka kwiatów mistycznej białości...

Teraz podążcie sami w tę ustroń cichą, do której pospolite gwary codziennego życia nie dochodzą. Wrócicie z niej cichsi, silniejsi, z pogodą i miłością w duszy.

H. C.

St. Aziel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

— Prawdziwie wygwizdałbym, gdyby nie wzgląd na panią domu — rzekł Janusz, ramię podając Adzie do wyjścia w inną stronę.

Lecz ona całą uwagą i ciekawością zawisnęła przy głośnem gronie.

— A jednak się to podoba! — wołała nie ruszając z miejsca. — Patrz! patrz! jak się do niej cisną! Ilu się jej przedstawia!

— Tak! A wy choćby duszę zaprzedać dyabłu dla powodzenia, dla zdobycia głupców do swego rydwanu!

Mimo, że odpowiedź ta była wyraźnym dowodem rozdrażnienia, jakie bezświadomie wzbierało chwilami w duszy Orońskiego, Ada umiała je tak zręcznie zażegnać, że potem wyszukała sposobności zaznajomienia się z właścicielem pięknego głosu, który na jej cześć nie omieszkał paroma pieśniami jeszcze zgromadzonych uszczęśli-

wić, a swego rycerza i tak napoiła błogiem przekonaniem, że był jej niezmiernie pożądanym, potrzebnym, najmilszym.

Blizko trzecia była po północy, gdy raut się skończył.

Na świecie zaczynał się brzask.

A gdy w Jerozolimską Aleję skręcili, sami dwoje tylko w odkrytym powozie, z przyjemnością poczuli chłodny powiew, który od Wisły przyciągał ku nim, pełen orzeźwiających, wiośnianych zapachów z dalekich pól i łąk w rozkwicie.

— A! — odetchnęła Ada, z rozkoszą chłonąc powietrze w piersi. Potem spojrzała na Janusza.

— Wiesz, pojedźmy w Ujazdowską... tam ślicznie być musi o tej porze — zaprojektowała.

Powóz natychmiast zawrócił. Ona zaś, w białej, koronkowej narzutce na bujnych włosach, owinięta miękką rotundą, osłaniającą aż do stóp jej postać całą, zasunęła się w głąb i milczała.

Pierwszy raz widziała aleje bez kurzu, bez ludzi i bez pojazdów, wolne od wszelkich drobiazgowych roztargnień dla wzroku, spokojne, pełne świeżości i powietrza, strojne jedynie w młodą zieleń drzew i krzewów.

Zmierzch nocny jeszcze zalegał wokół — i było cicho, i tajemniczo. W szarych, nikłych półcieniach cała przyroda zdała się w barwach przygasłą i jakby senną.

Ada zrazu patrzyła ciekawie, bacznie, wciągając chłód, a widok nieznany. Potem zaczęła przymykać oczy.

Była zgorączkowana i znużona tylogodzinnem podnieceniem. W uszach jej szumiał gwar zmięszanych głosów, brzmiały echa pieśni, rozmów, śmiechów, przed oczyma przesuwał się i majaszył tłum postaci chaotycznych, na których tle parę występowało wyraźniej, podnosząc w ślad za sobą rój wrażeń splątanych, w końcu jednak wszystko rozpływało się i zacierało jakoby we mgle, która zdała się wonią odurzać, a wzrok ćmić błękitnawym, przejrzystym oparem.

Powóz cicho turkotał po bitej, wilgotnej drodze.

Ona za jego ruchem bujając się zlekka, coraz częściej mrużyła powieki jak w marzeniu czy półśnie.

Przelotne niepokoje, nowe chęci i pożądania, jakie podczas wieczoru ją napadały, znikły, przebrzmiały, jak chwilowe, dorywcze dźwięki. W duszy jej zaś lubo, oszołomieniem jakiemś przyćmione, grały uczucia i myśli, częściej się odzywające.

„Janusz siedział obok? Czy chciała tego? Czy może kochała go?"—przemykało pytaniem przez jej umysł, gdy nieco uchylała powiek i widziała go przy sobie. — „Janusz?... Czyż kocham go?... Czy kocham?" — „Bo ja wiem, bo ja wiem!" — rozlegało się razem w odpowiedzi. I opływały ją uczucia miłe, miękkie, łaskoczące, że aż uśmiech rozkoszny zawisał na ustach. Lecz zarazem przejmowało pragnienie, by nie myśleć, nie pytać, nie badać, jeno trwać i nurzać się w tem rozkołysaniu i rozmarzeniu, w jakiem była.

Zwolna też przestawała odróżniać co rzeczywistością jest, a co tylko majaczeniem; obrazy wszystkie roztapiały się w obłokach przestrzeni, a myśli w przygłuszonym odgłosie toczących się kół.

On przeciwnie, oczy miał otwarte i pełne głębokiego światła. I on marzył, to jest zostawał pod wpływem rozgrzewających wrażeń poprzednich, pod urokiem majowego świtu, powietrza nasiąkłego rzeźwością i rosą, i pod czarem obecności kobiety, która działała na niego i jak wino, i jak wiosna, jak żar południa.

Ale w nim wszystkie uczucia zlewały się w dziwnie pogodną, silną, harmonijną jedność z przyrodą. Myśli jego nie rwały się nigdzie, ani szamotały same z sobą, jak gdyby wszystko co mogło je burzyć, zamilkło, a co mogło je unosić i pociągać, znajdowało się w jednym punkcie: przed oczyma. I pragnienia jego były tak spowite spokojem, jak brzask obłokami, a tak wistocie jasne i zadowolone, jak dzień pewien wzejścia słońca.

Czuł oto poprostu, że żyje, żyje, jak dokoła świat życiem tchnący, piękny — i było mu dobrze w tem uczuciu i ono zamykało dla niego wszystko.

Pierwszy raz znalazł się tak blizko Ady, bo choć odsunęła się w bok ile miejsca starczyło, ledwo kilka cali dzieliło jej ramię od niego, a suknia prawie dotykała kolan. Ale i to nie sprawiało w nim gorączkowego zakłócenia.

Ona siedziała cicho, jakoby uległa i poddana. Patrzył na nią, gdy miała przymknięte powieki, z długą, cienistą rzęsą, i niewypowiedzianej doświadczał rozkoszy, jak gdyby właśnie płynącej z tego jej spokoju i obezwładnienia.

„Mógłbym pocałować usta jej — te pełne, różowe maliny, mógłbym pocałować" — odezwało się w nim, lecz nie żądzą, tem mniej zuchwałym zamiarem. „W dzieciństwie pewnie je całowałem nieraz..."

Widział jednak całą przepaść dzielącą go od lat dziecinnych—i czegoś rad był jej istnieniu. I czuł, że nie z zakazu, nie z niemożebności, nie z obawy — lecz z własnej woli, z nieśmiałości, bo ze czci — nie dotknąłby nigdy onych ust lekkomyślnie, jak innych, ani przyjacielsko, jak siostrzanych.

I to przeświadczenie znów napełniało go radością i dumą — i znów sprawiało, że patrzeć tak na nią i czuć ją blizko, było mu niezmiernie lubo i słodko.

I tak jechali.

A tymczasem na dobre dniało.

Świt wstał i odrazu rzucił na wschodzie różowe smugi po przez mgławe cienie. Tylko pośród drzew i ptactwa jeszcze trwał półzmierzch i półsen, a pośród ludzi za oknami w obsłonach, sen zalegał głęboki i głuchy, jak w noc.

Wkrótce złoty blask jutrzenki trysnął, hen, wysoko pod chmurami, zwiastunem, słońca odbiciem. Na ziemi, nizko, nad łąk pasmami, jeszcze sinawy zamajaczał tuman. Ale ptactwo podniosło rozhowor tak gwarny, że w powietrzu dzwoniło od świergotu i uciech.

Toż świt i Maj, pora złudzeń, radości, i miłości, i pieśni.

Powóz drugi raz zawrócił w Aleje. Ada uchyliła powiek i patrzyła w przestrzeń, a ciągle z ciszą upojenia i zadumy w rysach. Wreszcie poruszyła się, pociągając na sobie rotundę, która się nieco rozsunęła.

— Chłodno ci? — zapytał Janusz.

— Nie — odparła równie cicho i krótko, jakby nie chcąc głośniejszym dźwiękiem uroku płoszyć i zakłócać.

On jednak pochylił się i starannie otulał jej kolana okryciem, które probował ściągnąć aż na stopy drobne, małe, w cienkich pantofelkach, jak w miniaturowych kolebeczkach spoczywaiące.

Musiał też mieć wrażenie, że dziecinne widz nóżki, bo tkliwość na jego twarzy się rozlała z uśmiechem łagodnym.

A potem, jeszcze schylony, głowę zwrócił, w oczy jej zajrzał.

Ona jakby obudziła się nagle pod ciepłym prądem tego wzroku, który jednak umiał trafić do jej źrenic przysłoniętych, i zarumieniła się zlekka, powoli, niby od brzasku.

— Wróćmy już — szepnęła, gdy do placu św. Aleksandra się zbliżali.

Gdy zaś przed domem jej stanęli i Janusz z powozu ją wyprowadzał, rękę mu podając rzekła krótko:

— Dziękuję ci, bardzo, bardzo.

Na świecie był już zupełny dzień, tylko jeszcze bez pełni słonecznych blasków.

V.

W kilka dni po owym piętnastym, Ada powracała istotnie z filantropijnej wycieczki w towarzystwie doktora Wirskiego, któremu nie dała się od usług wywinąć.

Wcale nie ciekawa jednak cząstka miasta przypadła im w udziale. Ani charakterystyczne Stare Miasto z ludźmi równie typowymi jak wązkie, zacieśnione ulice, a kamieniczki drobnookienne, stulone między sobą, nakształt zgrzybiałych starców w obawie przed najściem silniejszych, wszystko z posad rugujących młodych; ani nawet Powiśle przestrone, nizkie, ubogiemi zaludnione domkami, równie jednostajnemi, jak mieszkańcy ich nędzni, o szarych twarzach i szarej odzieży, zlewający się barwą z otoczeniem piasków, błot i grudy.

Wprost kręcili się oto po dzielnicy fabrycznej, po krańcach Chmielnej, Siennej, po Twardej i Ciepłej, tam wyszukując żebrzącej biedy.

Lecz wiele adresów okazało się mylnych, niedokładnych, tem więcej że ludność uboga często przytułek zmienia; wielu znów mieszkańców porozpraszało się za zarobkiem, dość że plon był skąpy i sprawozdanie gęste luki przedstawiało.

Pod względem zaś wrażeń spodziewanych Ada zawiodła się podwójnie. Raz bowiem: poznała z obejścia doktora, że stanowczo się z partyi wycofywa, jakkolwiek grzeczności nie uchybiał w niczem, przez co wszakże wyprawa postradała urok, a z drugiej strony nie widziała malowniczych obrazów nędzy, które wogóle stokroć jaskrawiej odbijają na tle trzaskającego mrozu, niż na tle pogody wiosennej.

W każdym jednak razie, Ada w mniemaniu swem zbliżyła się do „realnego życia," które ją nęciło chwilami, jak całkiem nieznane przedstawienie, ale uważała, że ono wcale nie jest „tak pełnem czarnych okropności," jak to opisują.

Juźciż samej siebie w podobnych norach nie mogła sobie wyobrazić, równie jak nie pojmowała, jakby to przyszło zdjąć wykwintną, jedwabiem od spodu szeleszczącą suknię, a włożyć łachmany.

Lecz takie zestawienia i myśli mogły tylko przez żart powstawać w jej bujnej imaginacyi. W gruncie przyjmowała rzeczy jak są, to jest: że uprzywilejowani używają, upośledzeni łakną. A ponieważ niewiele lub powierzchownie zajmowała się urządzeniami i sprawami społecznemi,

wszelkie zatem wnioski i uwagi w tym zakresie mało w bieg wprawiała.

Szła ot lekkim krokiem, rozprawiając o konnej jeździe i wystawach obrazów. A ze wspaniałomyślną wesołością zaczarowanej wróżki, odczepiała kwiatki z wonnego bukietu, jaki miała istotnie w ręku, i ciskała je dzieciom tarzającym się po ulicy i podwórkach, na równi z psami w piasku i ściekach; rzucała tak, jak niegdyś ziarno wróblom na wsi w porze zimowej, by śmiać się, gdy te ludzkie pisklęta bójki staczały o drobne gałązki, widząc w nich jakoby całą ponętę szerokich, wiośnianych łąk, zieloności i swobody. Również z czysto salonowym wdziękiem rozmawiała z paroma kobiecinami, które zastała w izdebkach przy praniu szmat, lub skrobaniu kartofli na wieczerzę; bo znowu tu bawiła ją nieufność, z jaką ich witano, jakby co najmniej władzę sanitarną, a nie miłosierdzie.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)



17 Marca 1896 roku.

Spóźniliśmy się o kilka dni z miesięcznem sprawozdaniem, a to z powodu, że nie było o czem pisać. Magazyny sposobiły się do wystaw letnich; w teatrach i salonach widać tylko zimowe stroje, na ulicy ciepłe peleryny i żakiety. Aż tu nagle, z pierwszem słońcem marcowem, w stu oknach na raz, błysły nowe różnobarwne tkaniny. Piękniejsze jeszcze próbki nadesłali fabrykanci do wielkich zakładów krawieckich. Uprzejma pani Eliza Petit (dawniej Mery), zaopatrzyła nas hojnie w te nowości. Ale otóż i nowy kłopot, nie wiemy sami od czego zacząć. Tem trudniej to przychodzi, że moda nie przyjęła wyłącznie tej lub owej cechy, jak to niegdyś bywało. Modne zarówno wyroby w pasy, w wielką szkocką kratę, w mozajkę, w marmurek, w dziwaczne hieroglify i ogromne gzygzaki, a obok nich w skromny rzucik z polnych kwiatków i maleńkich muszelek.

Z wełnianych tkanin, jedne wyrabiane wypukło *en relief*, naśladują skórkę jagnięcia, inne przypominają kanwę. Miejsce dawnych barężów i grenadin, zastąpiła przezroczysta etamina.

Co do kolorów, widzimy zarówno jaskrawe jak i delikatne, całkiem nikłe odcienia. W ciemnych przemagają kolory: tabaczkowy, hawanna, zielony w odcieniach mchowym i piołunowym, morderowy, ciemno drzewiasty — jak kora dębowa, jak machoń, palisander; modny też kolor skóry duńskiej w rozmaitych odcieniach.

Z jasnych przyjęte barwy delikatne, cokolwiek przytłumione: różowo krewetkowa, błękitno mglista, zielona jak woda Nilu, żółta jak zaśniedziałe złoto, *vieil or*, nakoniec śmietankowa.

Od ogólnych uwag czas nam przejść do szczegółów. Z próbek przysłanych przez panią Elizę Petit, zwrócił uwagę naszą ogromny dobór fularów, tak prostych jak i *surah*, znać że zajmą przeważne miejsce w ubraniu letniem. Wielka w nich rozmaitość, smak upodobał sobie widocznie kosmopolityzm. Na jednych deseń perski, utkany w mozajkę z różnokolorowych kwiatków, na innych tureckie palmy rozmaitej wielkości, inne w guście indyjskim, jak zwykłe chustki, czerwone z żółtem i czarnem, inne znów w pioruny, w budystańskie symbole, w ogromne węże wijące się bez symetryi, czarne na tle białem lub przeciwnie, tu znów fular japoński w ogromne chryzantemy, tam chiński, *chiné* w niewydatny deseń, mieniący się w rozmaitych kolorach. Obok tych ekscentryczności, widzimy na tle białem lub blado zielonem, pączki róży, fijołki, drobne kłoski i t. p., te najodpowiedniejsze na suknie dla młodych osób, zdobią je kokardami i szarfą w stosownym kolorze.

Do nowości tegorocznych należy fular-krepon, układany w wypukłe załomy, albo w jednostajnym jasnym kolorze, albo też w rzucane bukiety. Uważaliśmy zarówno fular w paski przezroczysto przerabiane — te wymagają kolorowego podwleczenia.

Nie widzieliśmy dotąd sukien z tych nowych fularów. Trudność to wielka dla modniarek, jak zastosować te ogromne wschodnie desenie. Mówią, że bryty u takich sukien mają się rozchodzić z przodu i po bokach, a w miejscach otwartych dane będą słupy z plisowanego muszlinu albo linonu. Koronka ma zdobić tak stanik jak i dół spódnicy.

W wyrobach wełnianych większa jeszcze rozmaitość. Na chłodne poranki do wód i do morza przygotowany gruby wyrób zwany *bure* albo *bouclé*, w wypukłą mozajkę. Na tle najczęściej czarnem lub białem, ciągnie się jaskrawy deseń w guście japońskim, chińskim, perskim i t. p.

Widzimy również nową tkaninę w rodzaju grubej lub miękkiej kanwy. Jedna zupełnie gładka w kolorach, śmietankowym, szamua, niewarowym, u innej na tle jasnem przechodzą delikatne punkciki z koziej wełny, w kolorach: pąsowym, czarnym, ceglastym, szafirowym lub pomarańczowym. Ładnie też wygląda kanwa mieniona w dwóch kolorach, tło ciemne mieni się z jedwabiem, z tego jedwabiu dany rzucik, niby ziarno grochu szablastego, złotawy na tle szafirowem, lub morderowem, różowy na tle mchowem, pąsowy na czarnem i t. p.

U tych tkanin mięszanych z jedwabiem, zostawiony z boku pas jedwabny, służy do ozdoby stanika i rękawów.

Na strojniejsze suknie wełniane, przyjęta klarowna *etamina* w atłasowe paski w odstępach, tego jak tło koloru. Do strojnych należy też batyst wełniany z jedwabiem, na tle morderowem, szafirowem lub czarnem, idzie rzucik z pomarańczowych punkcików. Płótno wełniane — *toile de laine*, mienione z jedwabiem odmiennego koloru, należy również do nowości.

Widzimy także lekki szewiot w szeroką szkocką kratę, na tej przechodzą jeszcze wypukłe prążki jedwabne w kolorach pąsowym i pomarańczowym. Alpaga w drobną kratkę białą z czarnym, morderowym lub granatowym kolorze będzie przyjęta do wyjścia na ulicę i na podróżne kostyumy.

Na przechadzki u morza, przygotowano pąsowy szewiot w biały lub czarny deseń.

Okrywki wiosenne i letnie, tak peleryny jak i żakietki, różnią się od zeszłorocznych nie krojem, ale tylko rozmiarem, nierównie są krótsze od tamtych. Peleryny dochodzą zaledwie do stanu, żakietki przechodzą stan co najwięcej o pół łokcia. Oto kilka peleryn wystawionych w magazynach: Printemps, Petit St. Thomas i Bon Maché. Wszystkie krótkie, płaskie w górze do ramion, dalej, skutkiem okrągłego kroju, tworzą się głębokie rury *godets*. Dajemy tu opis najładniejszych.

Peleryna z czarnej bengaliny, cała naszyta blaszkami dżetowemi. U szyi rusza z muszlinu jedwabnego, podbicie z białego atłasu.

Druga czarna atlasowa *satin duchesse* ujęta w tiulowy karczek, naszyty dżetem, wycięty w ząb tak z przodu jak na plecach. Od karczka spada na pelerynę podwójny wolant z tiulu jedwabnego plisowany w maszynie. Na ramionach atłasowe kokardy, u szyi rzęsista rusza tiulowa.

Trzecia peleryna cała zahaftowana jedwabiem na czarnym atłasie. U dołu odwracana falbanka z jedwabnego muszlinu w pliski, u szyi także rusza, podbicie z materyi śmietankowej.

Czwarta jedwabna czarna, u dołu dwie plisowane falbanki z jedwabnego tiulu w muszki *point d'esprit*, objęte wązką białą koroneczką, na to idzie krótsza peleryna z białego tiulu zahaftowana czarnym jedwabiem, dochodzi tylko do falbanek. U szyi rusza z białym brzeżkiem.

Piąta peleryna z sukienka, w kolorze skóry duńskiej. U dołu i po bokach szeroki szlak naszyty czarną jedwabną pletnią i sutaszem. U szyi rusza z muszlinu jedwabnego, w tym kolorze jak sukienko. Podbicie z materyi białej.

Szósta z sukienka tabaczkowego, naszyta cała szarym jedwabnym sutaszem. U dołu i u szyi ruszka z materyi mienionej w dwóch kolorach: tabaczkowym i szarym, takież samo podbicie.

Siódma peleryna czarna z materyi pompadour, na niej wkoło naszyte słupki z muszlinu plisowanego, wysokie na pół łokcia. Każdy słupek ścinięty w górze, przytwierdzony rozetą ze wstążki atłasowej, u szyi rzęsista rusza.

Co do żakiecików widzimy w rozmaitych kolorach: hawanna, granatowym, czarnym, szarym, piaskowym i t. d. Wszystkie z cienkiego sukienka, mają krój z epoki Ludwika XV, plecy gładkie, obcisłe z krótką rozniesistą baskiną, przody otwarte wolne z wyłożonemi klapkami, pod spód idzie dość dluga jedwabna kamizelka. Rękawy bufiaste, od łokcia ścięte, zachodzą na rękę. Z obu stron rząd guzików, szmuklerskich lub z konchy perłowej.

Staniki u sukien wełnianych nie różnią się prawie od żakietek — wszystkie wogólności z małą baskiną, mają otwarte przody z wyłogami. Pod spód dana kamizelka lub plastron rzęsisto nagarnirowany.

O kapeluszach więcej powiemy w przyszłej korespondencyi, moda ich dotąd nie zupełnie ustalona. Rozmiar okrągłych nie zbyt wielki, rondo zachodzi nieco na czoło, w tyle podpina się do góry. Strojniejsze przeciążone kwiatami. Jedna girlanda idzie z przodu nad rondem, druga na podpięciu ronda w tyle głowy. Oprócz kwiatów widzimy na nich piramidalne koki, z gazy, muszlinu jedwabnego albo tiulu. Są to dopiero próby — moda nie wyrzekła jeszcze ostatniego słowa.

Do tegorocznych nowości należą bardzo szerokie i długie krawaty, z koronki, tiulu i muszlinu

jedwabnego. Wielkie z nich kokardy i końce przysłaniają cały przód stanika.

Rękawiczki białe ciągle się utrzymują do codziennego nawet ubrania. Widać je też ze skórki kozłowej w czerwonawem odcieniu, zapięte na dwa duże guziki.

Seweryna Duchińska.

SPORT I KOBIETA.

Nie tak to bardzo odległe są te czasy, kiedy cały sport razem wzięty, nazywany był przez ludzi seryo fantazyą, kaprysem i niedorzecznością, a każdego człowieka oddającego się tej próżniaczej zabawce uważano jako społecznego pasożyta — umysłowego niedołęgę, a zero zupełnie jako charakter.

Oddawali się temu dziwactwu wyłącznie wyrodniejący synowie rodów starych — oddawali, przyznać należy, ku wielkiej niechęci swoich ojców, którzy piastując sami urzędy publiczne, służąc wojskowo, zajmując się polityką, a w ostatnim razie czynnie administrując własnymi majątkami, z niechęcią oczywiście patrzyli na rozrywkę bezmyślną, a w przeważnej liczbie wypadków rujnującą. Nikt się nie dziwił tej niechęci. Przez młodego bowiem człowieka oddanego sportowi rozumiało się powszechnie indywiduum, które w latach nauki naprowadzało nieszczęśliwego nauczyciela na przypuszczenie przedwczesnego ztwardnienia kości czaszkowej elewa, które następnie sromało się pracy wszelkiej w tym samym stopniu jak jego ojciec i dziad sromał się występku i hańby, a w dalszej karyerze odznaczało się bezwarunkowym brakiem pragnień i ambicyj — mszczące się przytem za własnowolne wyłączenie się ze społeczności ignorowaniem głupkowatem jej dążeń, walk i trudów.

Wogóle na sport zapatrywano się w owej epoce jako na coś takiego, z czego się wyrasta — z czego się koniecznie wyrosnąć powinno, jeśli ktoś pragnie, aby się z nim społeczność jego jako z jednostką czynną rachowała. I wyrastali ludzie w samej rzeczy, i przystosowywali się do warunków życia normalnego, ale za to ci, którzy pozostawali przy swojem, stanowili kółeczko jak najściślej odrębne — społeczność wśród społeczności.

Nie szczególną popularnością, jak powiadamy, cieszyła się ta grupa ekscentryczna. Jeżeli wypadkiem znalazł się wśród niej, człowiek innej sfery — czy to była jednostka oddana nauce, czy człowiek idei — czy nareszcie zwykły na jakiemkolwiek polu pracownik, wynosił ztamtąd każdy taki pognębiające wrażenie nasłuchawszy się rozmów morderczej banalności—sprawdziwszy naocznie ton i manierę, które z mądrością czystą a choćby tylko sensem zdrowym, z pewnością nic wspólnego nie miały. To też trudno było tak bardzo winić młodzież ówczesną warstw średnich, przedstawiającą niezaprzeczenie nielada jaką wartość moralną—trudno ją było winić o to, że jej widok każdego tak zwanego sportsmana zawsze przypominał dla kogo Francuzi stworzyli swój termin: „fou à manger le foin” — jakie jest u Niemców lexikograficzne znaczenie wyrazu: „Krautesel,” a zarazem co u nas w kraju przez epitet „baran” użyty na oznaczenie pewnej wartości umysłowej i moralnej, rozumieć wypada.

Nie wyrażając w tem miejscu naszych zapatrywań osobistych w tej sprawie, notujemy tylko wiernie, jakim był wyraz opinii w czasach o których mówimy, a notujemy z całą skrupulatną bezstronnością.

Czy się sport od tej pory społeczności czemkolwiek zasłużył, czy ją w pole wywiódł, że ją tak ugłaskał albo zahipnotyzował, zostawmy na teraz w zawieszeniu, a poprzestańmy na ztwierdzeniu faktu, że się nań ogół dąsać zaprzestał, że go adoptował i opatrzył w prawo obywatelstwa, a następnie dozwolił rozgospodarować się, zapuścić korzenie, tak że z pogardzonego i tolerowanego zaledwie, wyrósł on dzisiaj potężnie, tłumiąc i głusząc dokoła siebie resztę objawów życia społecznego i towarzyskiego, ogarniając coraz szersze koła, i nieledwie dyktując prawa.

Dawniej był on wyłącznym przywilejem próżnujących a możnych — dzisiaj rości sobie do niego prawo każdy bez względu na stan zamożności i pozycyą towarzyską, co jest samo przez się wielce niefortunnem, a nadto bez względu na płeć i wiek co sobie pozwalamy stanowczo do rzędu objawów o wiele jeszcze smutniejszych zaliczyć.

Dawniej znanym był jeden tylko jedyny sport wyścigowy — najkosztowniejszy, a przeto małej tylko liczbie adeptów czynnych dostępny — dzisiaj puścił odrośli dziesiątki całe, tak że każdy kto uprawia jazdę welocypedową, wioślarstwo, łyżwiarstwo, lawn-tennis, krokieta, myśliwstwo, ćwiczenia gimnastyczne, fechtunek, alpinizm a nawet t. zw. sport pieszy — każdy taki zyskuje do tytułu sportsmana prawo niezaprzeczone, a ten tytuł z rokiem każdym staje się bardziej wymagalnym.

Wszystko to dobrze, powie z was ktokolwiek czytelnicy, ale niby z jakiej racyi można mieć coś przeciwko temu?

Na to odpowiemy: Z pewnością nie — z tej, że ktoś wsiadłszy na przyrząd zwany bicyklem, jedzie sobie bliżej czy dalej, powolniej lub prędzej — że pływa, fechtuje się, gra w krokieta, gimnastykuje się, robi wycieczki górskie, albo idzie pieszo z Warszawy do Antwerpii a choćby i do Madrytu nawet.

Są to wszystko czynności śmieszne wprawdzie niekiedy bardzo, ale wogóle same w sobie bezgrzeszne całkowicie, i gdyby tylko jadący ubrany był w kostyum robiący go więcej podobnym do człowieka, gdyby nie rozwieszał po sobie insygniów swego pojacowskiego mistrzowstwa—gdyby szanował w sobie istotę męzką wiosłując i jadąc na bicyklu, nie przebierał się za cyrkowca, a co ważniejsza, szanował kobietę zamiast przedstawiać jej się wpółnagim — gdyby nadto z zabawki nie robił sprawy pierwszorzędnej doniosłości i niepodporządkowywał jej innych ważniejszych—gdyby się nie stowarzyszał w imię tej swojej nicości, nie zakładał klubów, a nadewszystko nie ciągnął tam za sobą kobiety — gdyby tego wszystkiego nie robił, o to że się bawi i bawi, wielkiego procesu, wytaczaćby mu jeszcze niby nie można. Niechajżeby się bawił, skoro taki jest ucieszny, jak ów przysłowiowy niegdyś nagi w pokrzywach.

Ale ponieważ uwziął się sport, aby nasze życie towarzyskie przenieść z domu do klubu — z rodziny do oberży, innemi słowy — ponieważ w tych klubach, jeśli o szczerość chodzi, nie widzimy wcale kobiet i mężczyzn wybitnych czy poważniejszych, którzy sami jedni uprawnieni są do nadawania tonu i maniery, a natomiast widzi się garstkę ludzi jak się należy rzuconą pośród mass, o których się nic podobnego powiedzieć nie da — ponieważ po za blichtrem ogłady wielce tuzinkowej notabene, panujący tam nastrój towarzyski jest o bardzo wiele obniżony w stosunku do tego, jaki u nas obowiązywał ongi, a dowolnościom i rozluźnieniom kresu przewidzieć trudno — ponieważ nakoniec idzie dzisiaj o to koniecznie, aby kobieta stała się tego trybu życia uczestniczką czynną — przeto ze sportem obrachunki są dosyć ciężkie, a ostateczny ich rezultat do przewidzenia wcale nietrudny.

Jakimże tedy sposobem przyszło do tego, że to co było smutnym monopolem klass możnych a próżnujących, ogarnęło naraz klassy, których aspiracye stanowiło dotąd przodowanie na innych zupełnie drogach? Dzięki jakiej ewolucyi pojęć warstwy i stany wbrew oczywistej często niemożebności swojej materyalnej, i bez względu na poczucie dobrego smaku, który przy wszystkich tego rodzaju wspinaniach się na palce i naśladowaniach niezdarnych, bezwarunkowo szwankować musi — jakim sposobem te klassy dały się wciągnąć w wir, z którym nic nie miały nigdy wspólnego, który wreszcie nie przypadał im do tonu, miary a powiedzmy szczerze i godności.

Odpowiedzieć na to pytanie — wytłómaczyć ten objaw, można w jeden sposób tylko:

Poprostu, równolegle i współcześnie z obniżeniem aspiracyj i przytłumieniem w sobie idealniejszego popędu, obniżył się człowiek. Życie spospoliciało, stało się trywialniejszem, straciło na stylu i powadze. Zjałowiałą niwę pokrywać zaczęły chwasty.

Można przeciwko temu nabredzić co się podoba, tak jak można próbować wszelkich wysiłków dla zrobienia nocy z dnia białego, albo odwrotnie — niemniej fakt jest faktem—prawda prawdą i najzręczniejszymi sofizmatami tego nie przedysputujemy, tak jak nie nadsztukujemy prawdy fałszem ani wybiegiem żadnym.

Ale przekucie starych podstawowych form życiowych u warstw demokratycznych nie mogło przyjść tak łatwo.

Wobec imponujących zadań, nad których rozwiązaniem biedzi się koniec naszego stulecia wprowadzić lekką piankę jako karm codzienną dla powszechności całej — tuż obok wielkich haseł do przesytu i ckliwości powtarzanych, znaleźć miejsce dla stałego karnawałowego nastroju — deklamować więcej niż kiedykolwiek o nierównościach społecznych, a takim co się w tym ustroju czują ofiarami, przepisywać sport na lekarstwo — popychać kobietę do nauki, kazać jej sięgać po wszystko co dotąd sprawował mężczyzna, potem tę kobietę zabraną domowi i rodzinie, a wyższą niby o całe współczesne udoskonalenie od matki swojej, ciągnąć do trywialnych rozkoszy sportowego rozgardyaszu, któremi byłaby z pewnością pogardziła ta ciemna i pospolita jej matka — wprowadzić ten cały chaos pojęć i poszukać w nim ciągu i konsekwencyi — łatwem bynajmniej nie było.

Nie było łatwem, bo kto w epoce takiej jak nasza druzgocze jedne formy, aby je zastąpić doskonalszemi rzekomo, kto wśród tak skomplikowanych i trudnych warunków bytu naznacza tak szerokie miejsce czemuś podobnemu jak sport i do udziału w tem zaprasza kobietę i dziecko—ten się z tego przed ogółem w jakiś sposób wytłómaczyć i wylegitymować potrzebuje, a nie wy-

pada przecież demokracyi poprzestać na starem a wcale nie demokratycznem: „tel a été mon bon plaisir.” Do tego celu potrzeba było naszym stronnictwom postępowym jakiegoś taranu takiego jak doktryna naprzykład, aby nią módz w dalszym ciągu rozbijać mury starego przesądu i ciemnoty, jak nakazuje program.

Jakoż znalazła się doktryna.

O tem właśnie *pryncipium*, o ile ono dotyczy kobiety i dziecka, pomówić mamy w dalszym ciągu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Coś niby fatalność.

OPOWIADANIE Z RZECZYWISTOŚCI.

(Ciąg dalszy)

Rzucił po przyjściu do domu powierzony zwój papierów na szafę, bez myśli zajrzenia do niego kiedykolwiek, zwłaszcza że śmierć ojca i cały z nią połączony natłok kłopotów wykoleił go na czas jakiś i nagromadził moc zaległej pracy, którą odrobić należało.

W domu rodziców narzeczonej bywał codziennie prawie. Byli tam z niego i z siebie wzajemnie wszyscy zadowoleni zupełnie, i zdawało się, że chmury, które się nad tym domem po śmierci doktora gromadzić poczynały, rozwiewały się szczęśliwie. Wolałby może był radca, żeby Edward więcej brał do serca zalecenia ojcowskie, bolała go w tej obojętności krzywda, która się zdaniem jego działa pamięci starego przyjaciela, ale przez wzgląd na miły spokój domowy, a może i dlatego, że mu szeptało wewnętrzne przekonanie, iż nie godzi się rozpalać wyobraźni nadziejami, za których ziszczenie sam byłby z pewnością ręki w ogień nie włożył — przez wzgląd na to wszystko milczał, nie poruszając drażliwego przedmiotu.

Tak minęło niezamąconych niczem kilka tygodni, po upływie których powracający w godzinach wieczornych do domu Edward zastał na biurku swoim list; treść odgadł na pierwsze wejrzenie. Pismo mecenasa B., które poznał na kopercie, nie dopuszczało ani na chwilę wątpliwości o co mu chodzić może. Zajrzenie do wnętrza potwierdziło zresztą zupełnie słuszność przypuszczeń.

„Mój młody klijencie, pisał uszczypliwie stary, od nieszczególnej z twojej strony akuratności rozpoczynają się stosunki nasze. Miałeś zabrane papiery odnieść w ciągu tygodnia, tymczasem miesiąc dobiega końca, a ja nie słyszę ani o papierach, ani o tobie. Przeczytane, czy nieprzeczytane, racz odesłać niezwłocznie. Potrzebne mi są koniecznie.

B.”

Przyjemną nie mogła być ta korespondencya dla Edwarda w żadnym razie, tem więcej, że pociągała ona konieczność jakiegoś postanowienia natychmiastowego.

Ale odesłanie tego zwoju, który tam zapylony z wysokości szafy na niego spoglądał — odesłanie z najgrzeczniejszym chociażby listem było wprost niemożebne. Odnieść ten fascykuł samemu, a nie módz w kilku ogólnikowych przynajmniej słowach, usprawiedliwić tego, że się do jego wnętrza zajrzało, wychodziło prawie na to samo. A więc wydało się Edwardowi, że trzecia ewentualność polegająca na przejrzeniu jakiemś pobieżnem, tak, aby potem kilku cyframi i nomenklaturami wymienionemi wydobyć się z ambarasu, była drogą pośrednią, którą nieuchronnie wybrać należało.

Sięgnął też ręką po te zatęchłe szpargały i opyliwszy ją z grubsza, z niechęcią rzucił na biurko, gdzie inna zupełnie praca od wczoraj przygotowana czekała na niego.

. . . .

Czas, który przepędzić miał teraz przy biurku młody człowiek przeznaczony był na chwilę przełomową w jego życiu. Kiedy rankiem jasnym przewracał ostatnią kartę grubego zwoju, był Edward można powiedzieć innym, zupełnie człowiekiem.

Z roziskrzonem okiem spoglądał on teraz przed siebie — spoglądał w ten świat tajemniczy cyfr kolosalnych, o których przystosowaniu do swojej skromnej egzystencyi nie zamarzył dotąd nigdy, szalała mu pod czaszką odurzająca myśl potęgi jaką daje mienie, upajał się nią do nieprzytomności — do odurzenia całkowitego.

Te setki nomenklatur realności ziemskich, te nazwy kluczów, te obszary leśnictw z ich domyślnemi puszczami tajemniczemi, te miliony składane w depozyt od czasu jak proces wytoczony zakwestyonował posiadanie — to wszystko otoczone mgłą szczególną feudalnych barw i rozmiarów, unosiło się niby opary jakieś w ubogiej izdebce studenta medycyny—do dnia wczorajszego wolnego jeszcze zupełnie od wszelkich tego rodzaju widziadeł i pokus.

Miałożby to rzeczywiście kiedyś w przyszłości należeć do niego? Mógłżeby on istotnie tę nędzną egzystencyę dzisiejszą wypełnioną trudem ciężkim bez widoków na przyszłość jakichkolwiek, bez powabu — mógłżeby on ten byt wyrobnika zamienić na...

Edwardowi głowa pałała, piersi rozsadzało jakieś nieznane pożądanie, chwilami widział siebie na czele tych posiadłości i tych skarbów, niby bohatera starej legendy, a wtedy ze zmarszczką na czole poruszał ustami, wymawiając z niechęcią nazwisko ojcowskie — zapytywał dlaczego on wnuk tamtych—tamtych przemożnych — dlaczego on nie nosi ich nazwy i tytułów.

A! dziej się wola nieba czy piekła, ale on musi, on osiągnie to wszystko. Niech się to stanie jutro bodaj, ale raczej umrzeć, niż wyrzec się tej myśli i tych nadziei. Dziś czy na godzinę przed śmiercią on to mieć musi, albo...

Tu zazwyczaj urywał się wątek myśli Edwarda. Tego „albo” — tej drugiej alternatywy nie chciał przypuścić — czuł żeby się z nią już pogodzić nie mógł w życiu.

Przekroczył próg tajemniczej krainy dziwów i rozumiał jedno tylko, to jest że do bytu, który prowadził dotąd powrót ma zamknięty nieodwołalnie.

* * *

Stosunki Edwarda z domem rodziców narzeczonej jego—pozornie te same zupełnie, zmieniły się przecież w gruncie doszczętnie prawie. Każdy miał tu dzisiaj coś do zatajenia albo do osłonięcia przed drugimi. Józia taiła przed rodzicami swój niepokój serdeczny o zdrowie Edwarda, który istotnie zmienił się bardzo na niekorzyść dla najmniej biegłego w tych sprawach obserwatora; radca osłaniał najstaranniej przed żoną i córką wieści jakich mu dostarczano z miasta o przyszłym zięciu, którego w gmachu uniwersyteckim od paru miesięcy nikt z kolegów nie oglądał; Edward taił myśli swoje i uczynki zarówno, milczał o tem, że dwa razy najmniej w ciągu tygodnia bywał u mecenasa, że ztamtąd znosił do domu stosy woluminów, że wertował kodeksy i procedury tylko, dawszy nieodwołalnie za wygranę medycynie swojej, na myśl której szyderczy uśmiech zjawiał mu się na ustach, a ruszenie ramion wskazywało najwymowniej całe jego na dotychczasową pracę zapatrywanie.

Trudniej nieporównanie było młodemu człowiekowi utrzymać w tajemnicy przed narzeczoną i jej rodzicami powody coraz częstszych i coraz dłuższych wycieczek; dla tych wycieczek musiał brnąć teraz w kłamstwach, których się wstydził przed samym sobą i zaciągać zobowiązania, które go w najdwuznaczniejszem niekiedy stawiały położeniu, nie mówiąc już o takich naprzykład obawach jak nagłe a niespodziane wyjście na jaw całego dzisiejszego stanu rzeczy.

A wszystkie te wyjazdy jeden i ten sam miały zawsze cel i po każdym z nich powracał Edward coraz bardziej roznamiętniony — coraz wszechwładniej opanowany żądzą zdobycia tego co własnemi oczyma oglądał i podziwiał. Żywił się i zatruwał tą karmą niezdrową, a były chwile w których i mecenasa samego zadziwiała ta gorączka — w których i on przyznać musiał, że szczególnie natrętnego stworzył sam sobie klijenta.

Zbliżała się jednak godzina, w której trzeba było powiedzieć o sobie więcej nieco i przyznać należy, że zawczasu obmyślał Edward co i w jakim duchu powiedzieć mu wypadnie na usprawiedliwienie swoje. Nadchodziły egzamina ale wraz z nimi nadchodził i termin sprawy. Samo pozostawienie tych egzaminów mówiło więcej niżby objaśnić mogły wszelkie wyznania i wywnętrzania ex-studenta medycyny. Dając im za wygranę, przyznawał się Edward do całej radykalnej zmiany w zapatrywaniach i do tego zarazem na czem obecnie przyszłość swoją zakładał. Dwustomilowa podróż, którą należało odbyć do miasta, gdzie się rozsądzać miały po raz niewiadomo już który z rzędu, losy tej rodziny przedstawianej obecnie przez tego jedynego spadkobiercę — sama podróż taka w czasach kołowej komunikacyi liczyła się do przedsięwzięć bardzo poważnych, nie pozbawionych przytem pewnego odcienia ryzyka a nawet hazardu — cóż dopiero rzec o celu samym i jego ważności.

Pożegnanie z rodziną narzeczonej było dla Edwarda przykre i kłopotliwe bardzo. Radca nadrabiał miną, matka milczała, ale ślepy chyba mógł nie zrozumieć do jakiego stopnia było to nie po jej myśli, a panienka sama?

O tem wolno było rodzicom wnioskować jedynie z przedłużającej się rozmowy, jaką mieli młodzi na cztery oczy — rozmowy, z której dochodziły ich echa raz rozżalonego to znów proszącego tonu młodej dziewczyny, i z mniej śmiałego niż zazwyczaj — zdradzającego niby usprawiedliwianie jakieś, niby przekonywanie, głosu

Edwarda. Kiedy się rodzicom ukazali oboje, fizyognomie ich mogły tylko potwierdzić wszystkie tego rodzaju przypuszczenia. On pomięszany był i zmieniony bardzo; oczy młodej dziewczyny miały blaski wielce charakterystyczne, świadczące o podnieceniu niezwyczajnem, a nadto zabarwienie ich czerwone opowiadało, że w zaklęciach i prośbach musiano się uciekać i do heroicznych środków nawet.

Smutne bardzo było to pożegnanie dla wszystkich.

Pierwszego zaraz wieczora po odjeździe Edwarda, radca, który jego i mecenasa odprowadzał na karetę pocztową, powrócił wesół niby ożywiony, ale dwudziestokilkoletnia towarzyszka jego życia wiedziała dobrze, co przez ten humor i kontenans rozumieć należało. Gdyby mu, biedakowi nie szło o dziecko własne, z pewnością zdradziłby się był dzisiaj przed żoną z niepokojem serdecznym, jaki budziło w nim to nadmierne przejęcie się szansami procesu ze strony młodego człowieka — to jego całkowite pogrążenie się w tej jednej jedynej myśli wyłącznej.

Mówił dużo o wybornej otusze starego jurysty, o tem jak on wyjawił mu nadzieję, że ta podróż będzie już prawdopodobnie ostatnią, z tego przeszedł do osobistych przeczuć, które nie wiadomo jakiemi były istotnie, ale które on malował barwami bardzo zdecydowanemi, nakoniec zaryzykował jakąś alluzyą do przyszłej pomyślności i splendoru przyszłych małżonków.

Ten ostatni zwrot chybił zupełnie celu. Zdziwił się nawet radca, że tak niespodzianie dotknął tym sposobem aż tak bolesnej struny w duszy własnego dziecka.

— Eh! dajmy temu pokój ojcze. Nie dobrze chyba mówić takie rzeczy. Ani to dla niego — ani dla mnie. Jego podobne insynuacye utwierdzić mogą tylko na drodze, po której idzie teraz ze szkodą swoją i moją, a co do mnie...

— No co do ciebie, to ja wiem co kobieta czuje w takich razach. Przejednać ją może tylko jedno. Czy wiesz jak się to nazywa?

— Nie wiem.

— To ja ci powiem: Powodzenie.

— Nie wiem czem się przejednywa każdą kobietę, ale wiem dobrze jak to oddziaływa na mnie i to ci powiem ojcze, że gdybym dobrze nie znała tego człowieka, gdybym mocno przekonaną nie była z jak szlachetnych pobudek owładnąć sobą pozwolił tej myśli... gotowabym...

— Nie kończ dziecko — przerwał radca powstając z miejsca. — W życiu strzedz się trzeba wielkich heroizmów, a jeszcze bardziej wielkich słów, a ty o włos co nie wypowiedziałaś jednego z takich. Czekajmy! To też jest wszystko prawie, do czego się ograniczyć musimy.

Józia opuściła pokój bardzo wzburzona.

— Oto masz dzieło swoje — odezwał się radca do żony.

— Mylisz się. Nie ma tam wpływu mojego wcale, ale przecież to już kobieta dzisiaj; zaspokoić jej tem czem się ludzi wyobraźnię dziecka— nie sposób.

— A czemże jest on w takim razie?

— On jest to sobie nieszczęśliwy, którego pochwyciły zębate koła tego piekielnego prawdziwie mechanizmu. Dla niego wyjścia z tego nie ma.

— Nawet w razie wygranej?—zapytał radca ironicznie, ale zamilkł nagle, spotkawszy wzrok żony taki jakiś odmienny niż zazwyczaj, że go ochota do wszelkiej dalszej dyskussyi odbiegła. Idąc do siebie dał za to folgę należytą swojemu złemu humorowi, a zwykł był zawzięcie monologować w takich razach.

— To są ich zwykłe gderliwe a przekorne przewidywania. Robią sobie z nich szaniec bezpieczny na wypadek złego obrotu rzeczy, żeby powiedzieć miały prawo: „A nie mówiłam?" A że w życiu łatwiej o złe wyniki założeń ludzkich niż o dobre, więc w wielkiej liczbie wypadków słuszność niby przy nich. Znamy się na tem! Nie cała przecież mądrość życia w zaprzeczeniu, a one doprawdy nie wiele więcej umieją. Nemo sapiens — nisi patiens. Ot co!

* * *

Co tydzień prawie przychodziły listy od Edwarda. Czy on był w nich sobą, czy był szczerym zupełnie, trudno było odgadnąć, to pewna, że niewiele w nich mówił o sprawie, która tu sympatyczną nie była — dużo natomiast o sobie, przyczem akcentował ostentacyjnie swoją swobodę umysłu, stawiając tym sposobem umiejętnie bardzo, widoki w jakich tu przybył w najpomyślniejszych barwach.

Tak upłynęło pare miesięcy. W domu radcy nie wiedziano precyzyjnie terminu sprawy, co już było z całym rozmysłem zaplątane przez Edwarda; zdawało mu się, że tym sposobem mniej będzie troski, mniej niepokoju, a rezultat ostateczny, a tryumf sam, rezerwował on sobie jako kompensatę za tylokrotne zamachy narzeczonej na jego postanowienia.

Tymczasem niby widmo złowrogie stanął przed tą rodziną zebraną rankiem przy śniadaniu pewnego dnia najniespodziewaniej mecenas B.

Radca i jego żona powitali go jednobrzmiącym okrzykiem pełnym trwożnych przeczuć i każde z nich machinalnie zerwało się z krzesła na przyjęcie wchodzącego, Józia ani głosem ani ruchem nie zdradziła wzruszenia a stało się to prawdopodobnie dlatego, że głos zamarł biedaczce w piersi, a nogi odmówiły posłuszeństwa. Nie mogła się zdobyć na tyle nawet męztwa, żeby temu posłowi Hiobowych, jak przeczuwała, wieści, spojrzeć oko w oko. Zbladła jak marmur i pochyliła głowę tem pochyleniem charakterystycznem, w którem porażony światłem oczekuje samego uderzenia gromu.

Zaledwie słyszała głos, a treści tego co mówił stary prawnik, nie rozumiała prawie wcale. On tymczasem rozsiadał się najwygodniej, pomimo, że mu nikt miejsca nie robił, i zdawał się nie spostrzegać tego, że zapytanie wisiało na ustach obojga małżonków. Pierwszy przemówił radca.

— Edward...?

— Jest. Przyjechaliśmy razem.

Józia nie rozumiała jeszcze dobrze.

— Z pewnością jest? — pytał radca niedowierzająco.

— A cóż ty myślałeś? Przecież nie został tam.

— Dlaczegóż nie przyszedł z tobą? — nalegał radca z odcieniem pewnej nieśmiałości.

— Dlatego, że jest to człowiek innego pokolenia niż ty i ja, dlatego, że u młodzieży dzisiejszej odbycie podróży liczy się do trudów nadzwyczajnych, dlatego jednem słowem, że przybywszy wczoraj o godzinie 11 wieczorem, dzisiaj o 9 rano śpi jeszcze w najlepsze.

Rodzice w połowie uspokojeni zaczęli przypatrywać się przybyłemu, Józia oderwała nareszcie wzrok od obrusa do którego barwa jej twarzy szczególnie była zbliżona, a radca tymczasem zabierał się do inkwizycyi dalszej.

— Sprawa?

— Dobrze.

— Jakto dobrze?

— Dobrze to jest: dobrze.

— Więc wygrana? — Zakrzyknął głośniej pytający, zrywając się z miejsca.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Nowe książki

NADESŁANE REDAKCYI „TYGODNIKA,"

Nakładem „Kuryera Codziennego."
T. Jeske-Choiński, *Gasnące słońce*
Nakładem firmy Gebthner i Wolff.
Kazimierz Malczewski, *Nowelle.*
Eliza Orzeszkowa, *Pieśń przerwana.*
Nakładem firmy T. Paprockiego.
Biblioteka powszechna do numeru 161.
Grot Bęczkowska, *Bez woli*, powieść.
Dr. Breits, *100 rad dla nerwowych.*
Nakładem firmy Wizbek.
Dr. Tchórznicki, *Mieszkania dla robotników.*

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою. Варшава 4 Марта 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. ...tor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**